

## Filozofia strajków

**Autor:** William Graham Sumner

**Źródło:** [mises.org](http://mises.org)

**Tłumaczenie:** Maciej Mrug

Tekst po raz pierwszy ukazał się w czasopiśmie „Harper's Weekly” 15 września 1883 r. Został ponownie opublikowany w zbiorze esejów [\*On Liberty, Society, and Politics: The Essential Essays of William Graham Sumner\*](#) (1992).

Rosnący na przestrzeni ostatnich kilkuset lat poziom dobrobytu materialnego nie wywołał powszechnego uczucia szczęśliwości. Jest zupełnie odwrotnie – w dzisiejszych czasach ludzie są o wiele mniej zadowoleni z życia, niż byli ich przodkowie. Tę sytuację można łatwo wyjaśnić, gdy zna się proste prawidła rządzące ludzką naturą.

Dopóki ludzkie potrzeby nie będą w pełni zaspokojone, dopóty nie będziemy czuli się szczęśliwi, lecz będziemy doświadczać niezadowolenia, które z kolei motywuje do większego wysiłku i jest niezbędnym elementem rozwoju. Jeśli natomiast ograniczymy analizę zaistniałej sytuacji do jej aspektów socjologicznych, zauważymy, że zjawisko nazywane przez nas postępem jest ograniczane przez fale kontrataku, których samo jest źródłem. Możemy także dostrzec prawdziwe znaczenie fenomenów, które każą niektórym wierzyć w absurdalne twierdzenie, że postęp czyni nas uboższymi.

Postęp z pewnością nie uszczęśliwi ludzi, jeśli umysłowy i moralny rozwój nie będzie się przekładał na ilość pozyskiwanych przez nas dóbr materialnych. Mówiąc „postęp” mamy na myśli zwiększanie się wachlarza możliwości, a szczęście człowieka zależy od tego, jak wykorzysta swą wolność wyboru. Ludzie nie osiągną szczęścia, jeśli nie będą poszerzali wiedzy o egzystencji i nie będą mądrze rozpoznawali właściwych zasad współżycia społecznego w takim samym tempie, w jakim podporządkowują sobie zasoby natury. Zakres możliwości będzie się wciąż rozrastał, ale nie będą oni wiedzieli jak je wykorzystać.

Analizowany problem ludzkiego szczęścia ma także swój nie mniej istotny aspekt ogólnospołeczny. Bardzo ważne jest, aby instytucje polityczne, reguły zachowań społecznych i zaaprobowane koncepcje, które składają się na całokształt opinii publicznej, rozwijały się współmiernie do poszerzającego się zakresu ludzkiego panowania nad naturą. Kara za niemożność utrzymania odpowiednich proporcji pomiędzy rozwojem powszechnej filozofii życia a zwiększaniem się dobrobytu materialnego to społeczne napięcia, które wstrząsną cywilizacją i zmuszą ludzkość do podobnej walki z barbarzyństwem jak ta, która toczyła się podczas upadku Imperium Rzymskiego.

Nietrudno zauważyć, że aktualnie nasze wyobrażenie o życiu jest bezładne. Dawne prawa się dezaktualizują, a nowe nie są jeszcze w pełni sformułowane. Nawet osoby o nienaganej reputacji, którym powinniśmy powierzyć misję wywierania wpływów na opinię społeczną, często głoszą najbardziej sprzeczne i heterogeniczne opinie na temat życia i społeczeństwa.

Rozwój Stanów Zjednoczonych przyczynił się wielce do rozkładu tradycyjnych kodeksów i zbiorów zasad, które obowiązywały w Europie. Cywilizowany świat podzielił się na dwie części — starą i gęsto zaludnioną oraz nową, o niewielkiej populacji. Powstał przez to nowy fenomen, który — choć podlegał tym samym prawom rządzącym społeczeństwem — wydawał się im przeczyć. W rezultacie wiara myślicieli i ich uczniów we wspomniane zasady uległa zachwianiu i załamaniu, a wśród uczniów mniej pilnych narodziła się niezliczona ilość błędnych koncepcji.

Opinia ogółu została szczególnie oszukana i zmylona. Nowo powstałe państwo oferowało możliwości, których nie miało żadne wcześniejsze pokolenie. Nie stworzyło natomiast możliwości życia bez pracy czy bogacenia się bez oszczędności i wyrzeczeń. Człowiek może „wspinać” się po drabinie społecznej z pozycji ignorancji i biedy, ale nie może zarazem pobrać się wcześniej, wydawać pieniędzy lekką ręką oraz posiadać dużej rodziny i mnóstwa dzieci.

Wyłączając pojedyncze przypadki, ogół dzisiejszego pokolenia — bez względu na różnice klasowe — cierpi z powodu niezadowolenia, jakie wzbudza w nim apetyt na luksusy, który nie pozwala im zaspokoić swoich potrzeb. Wola przedłożenia odległych, przyszłych zysków nad natychmiastowe korzyści to cecha

wyróżniająca członków społeczeństwa cywilizowanego, ale staje się jedynie bujaniem w obłokach i chorobą rozpalonej wyobraźni, jeśli nie idzie w parze z wyrzeczeniami i rozwojem przedsiębiorczości.

Jeśli taką postawę przyjmie wystarczająca liczba osób, chorobliwe niezadowolenie i romantyczne ambicje staną się akceptowanymi społecznymi wzorcami. Nasza literatura, w szczególności proza, zawiera przykłady grup społecznych, które cierpią na tę przypadłość charakteru. Istnieją całe rzesze ludzi, którzy narzekają, wybrzydząją oraz umyślnie wykorzystują możliwość publicznego wypowiedzenia się po to, żeby przedstawiać swoje dziecinne skargi i nierealne żądania a jednocześnie filozofują na temat życia w stylu „Baśni z tysiąca i jednej nocy”. Oczywiście ten sposób myślenia i zachowania jest daleki od męźnej postawy, którą cechuje cierpliwość i skuteczność w dążeniu do celu.

Nasz beztroski amerykański styl życia demoralizuje wielu z nas. Setki młodych ludzi dorasta dziś bez prawdziwej dyscypliny, usuwa im się z drogi wszelkie przeszkody i zbyt często pyta się ich o zdanie. Wchodzą w dorosłość z przekonaniem, że świat zaferuje im prostą i przyjemną egzystencję.

Wszyscy znamy ten typ młodego człowieka chcącego znaleźć pracę, która mu „odpowiada”, i który będzie analizował wszelkie niedogodności ofert. Mówię tutaj oczywiście o czymś całkiem innym, choć ten problem — tzn. przerażająca nieefektywność i nieporadność tych, którzy narzekają i jęczą — stwarza nawet więcej powodów do smutku.

Jeśli ktoś chciałby zatrudnić kopistę, byłby z pewnością bardziej zasmucony niż zażenowany wielką liczbą podań o przyjęcie do pracy. Ogłoszenia, które można znaleźć w gazetach o największym nakładzie, oferujące lekką pracę wykonywaną w miejscu zamieszkania bez potrzeby odbywania żadnego wcześniejszego szkolenia i z zapłatą w wysokości dwóch, trzech dolarów dziennie, są dowodem na istnienie grupy społecznej, do której są skierowane. Ileż to tysięcy ludzi w Stanach pragnie wykonywać taką właśnie pracę! Jakże piękny byłby świat, gdyby takie stanowiska faktycznie istniały!

Z kolei nasze społeczne ambicje są często śmieszne i zwodnicze. Młodzież wzdryga się na myśl o pracy, która wymaga fizycznego wysiłku i kontaktu z brudem. Mierzą „wysoko” (nazwijmy to w ten sposób) chcąc znaleźć bliżej

nieokreślone, dorywcze zatrudnienie, które będzie czyste i dystygowane. Nasi mówcy i poeci perorują o „godności pracy”, ale nie wierzymy w to ani my, ani oni.

To rozrywki, a nie praca, świadczą o dostojności. Jednak prawie każdy z nas musi poświęcić swoje dostojność i zająć się pracą. Byłoby więc sensowniej, gdybyśmy nie rozwodzili się o godności, ale nauczyli się szacunku dla wartościowej pracy własnej i innych, bez znaczenia, jakiego rodzaju to praca. Zdemoralizować dobrego szewca i uczynić z niego złego człowieka na pewno nie znaczy mierzyć „wyżej”, a ten, kto swoją pracę wykonuje dobrze łopata jest według wszelkich kryteriów oceny lepszy niż ten, kto swoją pracę wykonuje źle piórem.

Tym, którzy pracują z amerykańską młodzieżą, wydaje się, że wyświadczyć swojemu państwu ogromną przysługę, przypominając swoim wychowankom, że każdy z nich ma szansę zostać prezydentem. Nasza literatura raz po raz stymuluje tego rodzaju bezsensowne ambicje, zamiast wpajać młodym ludziom zbiór wartości i zasad, które powinny przyświecać ułożonym, trzeźwo myślącym i pożytecznym obywatelom.

Konsekwencje tych zjawisk są nam dobrze znane. Duża część populacji przenosi się ze wsi do miast. Ludzie opuszczają stanowiska pracy wymagające umiejętności manualnych i technicznych a masowo starają się o przyjęcie do łatwych i przyjemnych profesji. Oczywiście ci, o których mowa, powinni mieć możliwość wolnego wyboru zawodu, a także poszukiwać szczęścia na swój własny sposób, ale bezsprzecznym faktem jest, że tysiące z nich czeka rozczarowanie i będzie z tego powodu cierpieć.

Jeśli młodzi mężczyźni porzucają gospodarstwa i warsztaty, aby zostać urzędnikami lub księgowymi, wynagrodzenie w przeludnionych zawodach spadnie, a w zaniedbywanych — wzrośnie. Jeśli natomiast kobiety zrezygnują z pracy w domu na rzecz pracy w sklepach, urzędach telegraficznych i szkołach, zarobki w tych zawodach spadną, a pomoc domowa znajdzie się w cenie. Jeśli kobieta będzie szukała pracy w takim fachu jak np. telegrafista, to chcąc konkurować z mężczyznami, będzie musiała zadowolić się mniejszą zapłatą. Podobne efekty wystąpiłyby, jeśli klasa próżniacza, zamieszkująca swoje

tradycyjne posiadłości ziemskie, byłaby zmuszona — na drodze jakiegoś społecznego przewrotu — do samodzielnej troski o swój byt. Napływ jej członków spowodowałby zmniejszenie się wynagrodzeń w branżach, których szeregi mogliby zasilić.

Podnosi się ostatnio pytanie, czy istnieje lekarstwo na niskie zarobki w przeludnionych zawodach. Odpowiedź nasuwa się sama: nie ma innej rady, niż zlikwidowanie przyczyny takiego stanu rzeczy. Strajk, czyli deklaracja pracowników, że nie będą pracować w wybranym przez siebie zawodzie, a jednocześnie odmowa przekwalifikowania się, to istne samobójstwo. Podobnie żadne chwytły retoryczne ani nawet przepisy prawne nie są w stanie zmusić właściciela przedsiębiorstwa do przekazania kontroli nad swoim interesem komuś, kto właścicielem nie jest.

Zawód telegrafisty wymaga przygotowania i umiejętności, ale jest jednocześnie bardzo przystępny dla tych, którzy poszukują pracy manualnej. Jest to także zawód przystępny dla kobiet, a przynajmniej w ramach wielu ze swoich specjalizacji. Profesja ta może zatem zostać częściowo zmonopolizowana. Żądanie, aby kobiety otrzymywały takie samo wynagrodzenie jak mężczyźni, jest na pierwszy rzut oka słuszne, ale prawdziwym efektem byłoby odcięcie kobiet od możliwości pracy w wybranym zawodzie.

Często mówi się, że żądania strajkujących telegrafistów są słuszne, ponieważ płaci im się mniej niż rzemieślnikom. Ten argument nie ma jednak żadnej siły przebicia. Jediną rozpatrywaną kwestią było to, czy aktualne stawki oferowane telegrafistom są w stanie zapewnić odpowiednią liczbę pracowników w tej branży. Jeśli dorastająca młodzież wybierze naukę rzemiosła, telegrafistów czekają podwyżki. Jeśli natomiast młodzi chłopcy i dziewczęta — nawet pomimo świadomości zarobków w branży — zdecydują się na pracę w urzędzie telegraficznym, a nie w domu czy warsztacie, wynagrodzenie telegrafistów będzie spadać.

Czy strajk może zatem szybko zwiększyć stawki oferowane aktualnie wszystkim telegrafistom? Istnieje tylko jeden powód, żeby w to wierzyć, a mianowicie że siła monopoli branżowych okaże się tak wielka a społeczne

niezadowolenie tak duże, iż doszłoby do ustępstw — które znów zostałyby unieważnione dzięki nowej fali telegrafistów.

Spróbujmy rozważyć, jak wyglądałyby sprawy, gdyby telegrafisci mogli zorganizować zwieńczony sukcesem strajk. Mają bardzo duży monopol. Sześć lat temu prawie udało im się wstrzymać krajowy transport na dwa tygodnie, jednak nie byli w stanie zrealizować swojego celu. Ostatnio pracownicy obsługujący przeładunek towarów próbowali stawić czoła napływowi niewykwalifikowanej siły roboczej z zagranicy, ale na próżno. Drukarze mogliby wspólnie postarać się o podwyżki, wstrzymując publikację wszystkich gazet danego dnia, ale taka akcja skazana byłaby na niepowodzenie, ponieważ bardzo wielu ludzi potrafi w razie potrzeby składać czcionkę.

Stworzenie sprawnie działającego monopolu czy wywołanie wielkiej społecznej katastrofy za pomocą strajku jest niemożliwe w branży pospolitego rzemiosła. Jeśli przyjrzymy się innym zawodom, zauważymy, że księgowi, urzędnicy i sprzedawcy nie mogliby się zrzeszyć i kolektywnie zastrajkować. Jeszcze mniejsze szanse mieliby nauczyciele, a służba domowa — całkiem znikome. W końcu rolnicy oraz inne osoby pracujące na własną rękę nie mogliby w ogóle liczyć na powodzenie.

W skrócie, osoba strajkująca deklaruje: „Jako członek społeczeństwa chcę świadczyć innym tylko takie, a nie inne usługi, ale uczynię to tylko na takich a takich zasadach”. Proponuje tym samym zawarcie umowy z innymi członkami społeczeństwa, której warunki sam podyktuje. Można się to udać jedynie w wyjątkowej sytuacji, tj. strajkujący muszą mieć monopol na świadczenie danych usług, przy czym owe usługi muszą mieć dla reszty społeczeństwa dużą wartość. Jeśliby zatem telegrafistom udało się zwiększyć swoje wynagrodzenia o piętnaście procent tylko dlatego, że zdecydowałiby się poprosić o podwyżkę, musieliby być znacznie bogatsi niż pozostali członkowie społeczeństwa.

Nasi ojcowie nauczyli nas starego powiedzenia: tak krawiec kraje, jak mu materiału staje. Jednak publiczna dyskusja na tematy społeczne wydaje się obracać wokół nowego przysłowia: niech krawiec zażąda tyle materiału, żeby mu na krajanie starczyło. Nasi ojcowie zakładali, że człowiek powinien starać się jak najlepiej wykorzystać dostępne środki; że solidne wykształcenie i przygotowanie

zawodowe odbywa się na drodze rozwoju cnót umiejętności, roztropności i oszczędności, które z kolei pomagają efektywnie wykorzystać posiadane zasoby.

Nowa doktryna wydaje się zakładać, że jeśli człowiek przyjdzie na ten świat, to powinien określić swoje potrzeby, sformułować swoje żądania, a następnie przedstawić je „społeczeństwu” lub „państwu”. Zapewne zażąda łatwej, przystępnej i dobrze płatnej pracy. Nie będzie chciał znosić żadnych ograniczeń, jak np. ograniczeń świata, w którym na plantacjach rośnie bawełna, ale nie odzież; w którym można wykopać rudę żelaza, a nie narzędzia i broń; w którym ziemia rodzi pszenicę, ale tylko dzięki ciężkiej pracy i wyrzeczeniom; w którym nie można mieć dwóch rzeczy naraz; w którym dwa plus dwa zawsze będzie się równało cztery.

Będzie chciał, żeby zagwarantowano mu „rynek zbytu” i żeby nie dotknęły go skutki „nadprodukcji”. W życiu prywatnym i w dziedzinie stosunków międzyludzkich potrafimy właściwie ocenić ten sposób myślenia, ale jeśli tylko każe nam się spojrzeć na sprawy z ogólnej perspektywy albo wyrazić zdanie na temat procesów zachodzących w danej branży przemysłu, która jest akurat tematem rozmów, dyskusja przybierze całkowicie konwencjonalny i nielogiczny charakter. Rozsądne *credo* mówiące o przedsiębiorczości, roztropności, sumienności i oszczędności jest oczywiście niepopularne. Wszyscy czekamy na kres naszych zmartwień, niepokojów, rozczarowań oraz wielu innych trosk, które nas dotyczą, kiedy brniemy przez życie na ziemi.

Czy rzeczywiście możemy jakoś ulżyć tym codziennym trudom, mobilizując się przeciwko sobie? To pytanie ma wymiar praktyczny. Czy istnieją jakiegokolwiek podstawy, aby uważać, że osiągniemy cokolwiek, wybierając taki rodzaj działania, który nic nikomu nie da?

Jeśli komuś nie podoba się jego pozycja społeczna, powinien mieć szansę wywalczenia sobie lepszych warunków w taki lub inny sposób, wykorzystując szanse, które są mu dane lub które sam stworzy. Niech wpoi swoim dzieciom dobre nawyki i właściwe poglądy, aby mogły żyć mądrze i nie narażały się na trudności z powodu błędów czy głupoty. Każdy tego typu eksperyment udowadnia, że jeśli ludzie zjednoczą się, by prowadzić branżowe wojny,

rozczarowanie wcale nie zamieni się w satysfakcję wprost proporcjonalną do podjętych wysiłków, ale doprowadzi jedynie do nowej katastrofy.